

Anarcho-Biblioteka
Dobry pieróg to wywrotowy pieróg



Buntownicy czasem golą brody, ale nie zmieniają skóry

Wywiad z Markiem Kurzyńcem

Katarzyna Kachel, Marek Kurzyniec

Katarzyna Kachel, Marek Kurzyniec
Buntownicy czasem golą brody, ale nie zmieniają skóry
Wywiad z Markiem Kurzyńcem
2 stycznia 2022

plus.gazetakrakowska.pl

pl.anarchistlibraries.net

2 stycznia 2022

Jednym nie podobało się, że służył jako ministrant, innym, że był zbyt narwany i wściekły. – A ja po prostu robiłem co czułem – mówi Marek Kurzyniec, charyzmatyczny przywódca anarchistów, lider ulicznych protestów na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych w Krakowie.

Gdzie odwiesiłeś swój czarny, skórzany płaszcz?

Żaden płaszcz, to kurtka była. Nie mam jej, bo podczas któregoś z wielu zawirowań pod konsulatem jakiś łotr milicyjny wyrwał mi z niej cały płat. Naprawa byłaby droższa niż kupno nowej. Szkoda, bo nie dość, że to kurtka całkiem zgrabna była, to i przydatna. Podczas naszych występów gościnnych w Stalowej Woli, czyli na strajku, urządzono nam dość szczególną ścieżkę zdrowia. Dzięki „skórze” można mnie było łomotać po plecach, a ja nic nie czułem.

Była jeszcze broda i rozwiane włosy.

Włosy jak widzisz, z troski o lud pracujący, z czasem wypadły, a brodę zgoliłem. Zapomniałaś jeszcze o nieodłącznym polowym chlebaku. Też już go nie mam.

Z buntu się wyrasta?

Nie, jest jakąś immanentną częścią człowieka, ludzkiej egzystencji i jeśli pytasz, czy nadal pali się we mnie wściekłość na państwo i system, to tak. Skóry czarnej nie mam, ale swojej, naturalnej nie zmieniłem. Oczywiście, nie będę ukrywał, że wiek robi swoje, pojawiają się inne perspektywy, aktywność staje się mniejsza, ale i rzeczywistość się zmienia. W ostatnim okresie mojego zaangażowania, kiedy w ruchu anarchistycznym pojawiło się sporo młodeży, zauważyłem, że są już z całkiem innego pokolenia, z innego myślenia. Bardziej rozglądali się za rozwiązaniami systemowymi, szukali kontaktów z fundacjami, jakimiś stowarzyszeniami, grupami w mediach społecznościowych. Gdzie nam do nich? Gdzie ja do nich? Myśmy po prostu wychodzili na ulicę. Ze swoją głową starszego od nich o 15 lat szalonego radykała zacząłem nawet odczuwać jakąś śmieszność, niedopasowanie. Odsiadywanie na dołkach, bijatyki, szarpanina z policją ich już nie kręciła.

Anarchizm zrobił się aksamitny?

Na pewno w tych jakże ciekawych czasach, które mamy, nie złapał trzeciego oddechu. Pierwszy, tak tylko przypomnę, wziął się zaraz na przełomie lat 80./90. i wyrósł z wielkiego gniewu i buntu, potem w okolicy 2000 roku pojawili się nowi ludzie i też potrafiliśmy razem nieźle w Polsce namieszać. Dziś wszystko to jakieś przytłumione i niemrawe.

Może po prostu nie wychowałeś sobie godnych następców?

Jestem ostatnim człowiekiem, który nadaje się do wychowywania kogośkolwiek. Tu nie chodzi o następcę, ale pokolenie. Przyglądam się współczesnemu środowisku anarchistycznemu z dystansem i pewnym smutkiem. Bo choć raz na jakiś czas zdarza im się zrobić coś, co można uznać za aktywność, temperatura tego bywa mierna. A może jestem już za stary, może czegoś nie widzę?

„Zadymiarz” przeszedł na emeryturę i stracił wzrok?

Nigdy nie myślałem o sobie „zadymiarz”. To pieszczotliwe określenie ukuto w kręgach „Gazety Wyborczej” i miało na celu dyskredytację naszej działalności. Bo zadymiarz to człowiek, który jest niespokojny i zaczyna robić dym dla samego dymu.

A ty wolałeś buntownik, wywrotowiec, nonkonformista?

Nie szukałem siebie jakoś w tych określeniach, wystarczyło anarchista. Wtedy to było mocne, jednoznaczne. Dziś poluje się na faszystów, tropi się antysemitów, szuka się kolejnych kategorii ludzi. Dla mnie ruch anarchistyczny był w tamtych czasach tym, co mnie definiowało.

Jak się trafia do takiego ruchu?

Jeśli chciałabyś teraz usłyszeć, że miałem zawsze w sobie złość, bunt i niezgodę, to cię rozczaruje.

Bo ty byłeś grzecznym chłopcem i wzorowym uczniem?

Ja nawet harcerzem byłem i tam się realizowałem. Mundur mi pasował i dyscyplina też była okej. Pójdę dalej, ministrantem też byłem, co zresztą wielu osobom nie pasowało, ale ja bardzo dobrze ten czas wspominam. Choć oczywiście równie mocno pamiętam też, jak po wprowadzeniu religii do szkół zrobiliśmy manifestację pod krakowską kurią i chcieliśmy ją szturmem zdobyć. Dwóch naszych kolegów było wówczas kopanych przez kleryków, tłum wył, a my w końcu rozwaliliśmy wrota kurii i na dziedzińcu spaliliśmy świadectwa religii.

Anarchistyczna inkwizycja?

Mnie po prostu zawsze wciągało działanie. Później pojawiły się zainteresowania, poglądy ideowe, które wiązały się z lekturą i fascynacją okresem rewolucji francuskiej - czasami, kiedy aktywizm i radykalizm był bardzo istotny, i tak poszło. Funkcjonowaliśmy w takim, a nie innym opresyjnym systemie, trzeba było coś po prostu zrobić.

I wyszedłeś na ulice.

Ale całkiem świadomie, bo przecież nie wyrwałem się na ulicę i nie czekałem aż mnie obiją po pysku. Szukałem kontaktów, już na studiach, wstąpiłem

do WiP (Wolność i Pokój), do którego zaprosił mnie świetnie zapowiadający się wówczas psychiatra Bogdan Klich, zresztą w ciekawych okolicznościach.

Opowiesz?

Podczas pielgrzymki papieskiej w 1987 roku byliśmy na Błoniach i nagle zrobiło się niezłe zamieszanie. Patrzymy, a tam koledzy z WiP, którzy zorganizowali w tłumie tak zwany sitting, są siłą wywlekani do suk. Nas było mniej, ale i tak rzuciliśmy się na milicjantów, wzięliśmy leżący gdzieś na bruku transparent z napisem „Wolność i Pokój” i jak w filmie „Obywatel Piszczyk”, całkowicie niezamierzenie i przez przypadek, stanęliśmy na czele pochodu, ruszając w kierunku Domu Handlowego „Jubilat”, a potem pod Wawel. I właśnie wtedy, po tej akcji, doktor Klich, zaprosił nas na spotkanie do Domu Studenckiego „Żaczek”. Byliśmy zaskoczeni, bo przecież tylko podnieśliśmy ten transparent leżący na ziemi. Tak trafiłem do WiP. I ta pierwsza akcja, o którą pytasz, to chyba była akcją solidarności z Afganistanem. Skończyło się na dołku, gdzie przesiedziałem 48 godzin.

Wtedy pierwszy raz przeczytałeś o sobie w gazecie?

Nie, wcześniej, wówczas kiedy pierwszy raz sam o sobie napisałem. Z kolegami Maciejem Gawlikowskim z KPN, Dariuszem Piekło, pseudonim „Swojak” wydawaliśmy pismo INFORMATOR. To były bardzo miłe czasy, drukowaliśmy je, pamiętam, na sitodruku u Gawlikowskiego w piwnicy, i mieliśmy bardzo dogłębne poczucie, że robimy konspirę. I właśnie po jednej z naszych akcji napisałem relację, że wśród zatrzymanych był także Marek Kurzyniec, o kurtce, brodzie i rozwianych włosach nie wspomniałem.

A kiedy inni zaczęli pisać „lider anarchistów”?

W ruchach anarchistycznych wszyscy są równi, nie ma hierarchii, nikt mnie nie wybierał, nie miałem oficjalnej funkcji, ale też nie ma co ukrywać, że tak właśnie było. Może dlatego, że dużo mówiłem, byłem widoczny. Wyodrębniający się.

Bo może nie każdy wsadza nagą dziewczynę na konia i gna ją Drogą Królewską w biały dzień.

Kiedy pojawił się pomysł manifestacji z okazji siódmej rocznicy wprowadzenia podatku VAT pod tytułem „Lady Godiva wróciła”, zastanawialiśmy się, jak go zrobić. Pamiętam, siedzieliśmy u mnie w domu, a ja przekonywałem członków ruchu, że to fantastyczny pomysł, by właśnie przypomnieć historię Godivy, która według legendy miała prosić męża o obniżenie podatków i warunkiem, który miała spełnić, okazał się przejazd nagiej lady na koniu przez ulice Coventry. Konia by się znalazło od ręki, to wiedziałem, ale która dziewczyna przejedzie na nim nago? - pytałem. „Zwariowałaś, to pry-

ze sobą nereczki, podarłem kartę wyborczą, zmieszałem z nereczkami, powiedziałem: „daj głos” i Grusza skonsumowała to ze smakiem. Komisja stała porażona, a Grusza była psem wielkiej łagodności, chyba nawet trochę bała się tych wszystkich ludzi.

Policji nie było?

Byli, ale pojawili się gdy z Gruszą staliśmy w monopolowym, by uczcić udaną akcję. Miejscowi konsumenci win owocowych przylecieli od razu i nas ostrzegali, że już są i czekają. Tyle że byli za późno. Akcja była szybka, po co męczyć psa?

Nie mów, że nie brakuje ci tej adrenaliny?

Nie powiem, że wpuszczanie władzy w niekorzystne układy, sytuacje nie było fajne, bobym skłamał. Był w tym żart, anegdota i dystans do siebie. Aktywność w ruchu anarchistycznym jakoś mi się nie przydała w karierze. I pieniędzy z tego było, wręcz przeciwnie.

Dlatego się wycofałeś, wyjechałeś do Trójmiasta i zająłeś się kolekcjonowaniem książek?

Nie, zadecydowały kwestie osobiste. I to, że w takiej formule, mając te czterdzieści lat, naprawdę popadłbym w jakąś śmieszność. To już był czas na inną ekipę. Próbowaliśmy jeszcze zakładać z kumplami czasopismo, ale to już nie miało odpowiedniej temperatury, rozłaziło się. Ostatnim moim zaangażowaniem był Kaukaz. Czułem jednak, że ugrzązłem w jakiś frenetycznych koleinach. Stawało się to męczące. Oddałem plac. Z ruchem nadal sympatyzuję, choć nie podoba mi się odejście od tej pierwotnej formuły, te wszystkie izmy, które dodano do tego. Brakuje w tym wszystkim pazura. No może jedynie akcje z Margot (Michał Sz.) i afera obyczajowa z niby dręczącą ją/go Klementyną Suchanow, mnie ubawiły. To był mój klimat: i happening, i bi-twa.

Czyli Marek Kurzyniec przeszedł w stan spoczynku?

Ale jak trąba, czy róg jakiś zabrzmi, to ho, ho, ho. Kto wie. Ale nic na siłę.

mitywne” - usłyszałem od koleżanek towarzyszek. Przyjąłem to do wiadomości. Było kiepsko, bo panie z agencji towarzyskich nie chciały brać udziału w politycznej akcji („no wie pan, my to porządne jesteśmy”), ale szczęśliwie kiedyś pojawiła się u nas dziewczyna, która przeprowadziła się z Warszawy pod Wawel i dołączyła do naszego ruchu. I właśnie jej absolutnie nie przeszkadzało, by się rozebrać.

Pamiętam, że strażnicy miejscy bali się ją ściągnąć siłą z konia, bo nie wiedzieli za co chwycić.

Tak było. Ale „na dołek” trafiła już w sukience. Jej chłopak w ostatniej chwili wrzucił ubranie do radiowozu. Pamiętam, siedzieliśmy w komisariacie przy ulicy Szerokiej na Kazimierzu i odbieraliśmy gratulację: „No, panie Marku, wreszcie jakąś sensowną akcję zrobiliście”. Potem już wszystkie krakowskie koleżanki z ruchu anarchistycznego chciały się rozbierać.

I?

I nic, powiedziałem: Dajcie spokój, nie możemy tego przekształcić w imprezę cykliczną, bo się znudzi.

Dziś, po akcjach #MeToo wsadziłbyś nagą kobietę na konia?

No pewnie, że bym wsadził, bo cel był jasny i była na to zgoda. Oczywiście, później na naszych warszawskich salonach, które zawsze były bliżej trendów i mód światowych, pojawiały się frakcje anarcho-feministyczne, które pytały o to, o co ty pytasz. Ale to przecież jakieś pomylenie. Nie rozumiem, dlaczego ktoś, kto chce być anarchistą musi do tego coś dopinać, dokładać. Ni to chce być anarchistą, ni to anarchoekologiem czy anarchoveganem? Nas interesowały wszystkie aspekty życia, nie dzieliliśmy ich.

W erze internetu byłbyś gwiazdą Youtuba.

Wiem, za wcześniej się urodziłem, trafiłem w jakąś lukę mediów. Moi znajomi z Krynek zorganizowali ostatnio w internecie zrzutkę na uchodźców, w ciągu kilku godzin zebrali 80 tysięcy, co pokazuje, jak wielka jest dziś moc i wielka łatwość pozyskiwania środków. Przypomniało mi to, jak zbieraliśmy pieniądze na konwój do Czeczenii. Nie mieliśmy przyjaciół, którzy mogli lekką ręką dać te pieniądze, zebraliśmy więc wśród tych, którzy osiągnęli jakiś sukces; chodziliśmy po instytucjach z kapeluszem w ręce i było dość żałośnie.

Żałujesz?

Nie, bo z drugiej strony internet zabija więzi i jest niebezpieczny. My siedzieliśmy po piwnicach, malowaliśmy plakaty, drukowaliśmy, rozwieszaliśmy, byliśmy razem. To nas jakoś kształtowało.

I mieliśmy doświadczenie pokoleniowe.

Dla mnie na pewno takim doświadczeniem było uczestnictwo w WiP, spotkanie się z ludźmi starszymi, mającymi wiele doświadczeń, z ludźmi o różnych temperamentach. I ja, ten który miał ksywkę „Wściekły”, musiałem się w tej grupie też odnaleźć. Realizowałem ją w tej formule, kierunkowałem, szukałem swojego miejsca, tematów które nie każdemu odpowiadały. Mnie nudziły te ich publikacje manifestów, raportów z zebrań, przecież to drętwe było. Wtedy wymyśliłem, że zrobimy manifestację studencką w rocznicę rejestracji NZS przed Collegium Novum. No i mimo wielu oporów zacząłem ją przygotowywać. Pamiętam, jak spotkaliśmy się na tajnej naradzie z przedstawicielami NZS krakowskich uczelni. No i słyszę deklarację od tych z UJ, że zrobią marsz gwieździsty, że będzie ich z tysiąc, na to ci z AGH mówią, że ich będzie 1200, no i po kolei padają te liczby, wychodzi z sześć tysięcy. Zacieram ręce i mówię; mamy to, Jaruzelski się doigrał. Ale ulotki dotarły godzinę przed akcją, nikogo nie ma, czekamy na ten marsz gwieździsty, a tam w krzakach ukrytych może z piętnaście osób. W sumie uzbierało się 500. No bo jak, na litość boską, mieli przyjść jeśli o tym nie wiedzieli? Tak działało NZS, myśleli, że samo się robi. Dowiedziałem się ostatnio, że rektor UJ Aleksander Koj wydał pamiętniki.

I co napisał?

Że zawsze był blisko z młodzieżą, rozumieli się doskonale, łączyli w idei patriotyzmu. Ale wśród tych, którzy rozumieli, byli też inni, co to mieli patriotyzm w pogardzie. No i tam jestem wymieniony jako demon w kapeluszu.

A miałeś?

Nie miałem pobudek patriotycznych, miałem pobudki rewolucyjne, destrukcyjne i nihilistyczne. A najbardziej w tych wszystkich formacjach patriotycznych przerażało mnie to, że traktowali się morderczo poważnie. Z tą nadętą konspiracją, która była śmieszna, bo każdy wiedział, że tajne spotkania zawsze mamy w Żaczku, a tajniacy są wokół nas, a i pewnie wśród nas.

Znałeś ich?

Wiedziałem, że chodzą za mną, znałem ich, robili mi rewizje. Nigdy jednak nie poszedłem do IPN i nie obejrzałem mojej teczki, choć kolegów teczki chętnie czytałem. Ale może jeszcze się skuszę. Człowiek jest słaby, widziałem wielu ludzi, którzy w swojej przeszłości utonęli, teczki ich zjadły. Dlatego wiem, że to może być niebezpieczne.

Boisz się?

Nie, choć przecież wiem, słyszę od kolegów z WiP, jakie dziwne, całkowicie niewiarygodne rzeczy się w nich pojawiają.

Jak mama reagowała na twoją działalność?

Miałem pełne wsparcie, pamiętam nawet, że kiedyś nie wpuściła ubeków, którzy przyszli do domu zrobić rewizję. Nawet ich trochę postraszyła: Nie boi się pan tu stać na klatce, przecież można się połamać na tych schodach, rzuciła do jednego. Oczywiście później dostawałem od niej wciry. Bała się, ale że była to matka z Kielecczyny, która antykomunizm wyssała z mlekiem, wspierała mnie w momentach kryzysowych. Stała murem za mną.

Czasami na szczęście nie było strasznie, tylko śmiesznie. Jak z akcjami przeciw prezydentowi Krakowa Andrzejowi Gołasiowi. Ciekawe, czy mu się śnisz po nocach?

No co ty, pewnie mnie nawet nie pamięta.

Nie darzyliście się miłością. Pewnie nawet myślał, że się na niego uwziąłeś.

Wkurzało mnie zabawianie się władzy za cudze pieniądze, pod pozorami prezydenckiego balu charytatywnego. Postanowiliśmy to uciąć. Pamiętam, jak pod pomnikiem Mickiewicza zrobiliśmy „kontrbal”, a potem przeszliśmy pod magistrat z okrzykiem: „Gołaś zapycha się merlinem za nasze pieniądze. Nie zapłacił za bilet na bal, choć dostał nagrodę w wysokości 38 tys. złotych”. Skandowaliśmy jeszcze „Pijcie za swoje!”, „Ludzie głodują, a wy się bawicie”; „Kapitalizm-kanibalizm”. I tak co roku.

I udało się wam bankiety odwołać.

Tak i też to ucziliśmy.

Toastami „na pohybel Gołasiowi”.

Tak, zebrał się wieczorem wokół pomnika Mickiewicza z transparentem „Bankiet skończony”, częstowaliśmy ludzi bigosem i „kukułą”. To w końcu sukces był.

Co było w tej „kukule”?

Prawdziwy sztos, portery plus spiritus i kukułki, pamiętasz, te karmelowe cukierki. Była moc. Ludzie się ustawiali, a my w kubeczki nalewaliśmy, jak w Kanie Galilejskiej.

A potem wsparłeś Jacka Majchrowskiego w wyborach. Nie żałujesz?

Nie, nie żałuję. Majchrowski obiecał, że nie będzie bankietów i tak się stało. Miał też utrzymać ośrodek czeczeński. Wiem, że jest już prezydentem za długo, że mógłby sobie zostać senatorem i oddać w mieście władzę, ale tamtej decyzji bym nie zmienił.

Pamiętasz, jak przyszedłeś na wybory z psem?

No jakbym miał nie pamiętać. Pies miał oddać głos w komisji w Liceum Nowodworskim. I to nie byle jaki pies, a dog niemiecki o imieniu Grusza. Miałem